Rok IV. Warszawa-Kraków, dnia 15. maja 1912. № 56.

PRZEGLĄD KRYTYKI
ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem
Józefa z Rozprzy Krobickiego.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedyńczego numeru: 20 kop.
OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:

WACŁAW ROLICZ-LIEDER.



Orkiestra dzwonów*).

(Z księgi lirycznej. — Paryż, 1890).

Na wieżach stare kołyszą się dzwony,
Głosy zlewają w harmonii lawinę,
Jęczą, a jęk ich murami tłumiony,
Z trudem w eterów żegluje krainę,
Umrzeć w rozsypce na jasnych nieb stropie,
A miasto pływa w jęczenia potopie.

Dzwon z głuchym dzwonem, wieża z wieżą gada,
Kościół legendę prawi kościołowi,
Słońce poranne na dzwonnice pada,
Całując serce zbolałe dzwonowi,
Powietrze falą tonów się bałwani.
Ludzie do świątyń idą zadumani. —

Idą upici myślą, rozmarzeni,
Jak w obłąkaniu fantastyczni idą,
Wzrok odwracając od Słońca promieni,
Co z nieba złotą kapie piramidą,
Dzwon ich umysły huczeniem przenika,
A w sercach smutek, tęskność i panika.

Bo dzwon ze dzwonem, wieża z wieżą gada,
Majestatyczny czuć w powietrzu zapach,
Zda się, że duchów poważna gromada
Płynie w przeszłością woniejących kapach:
Hetmany, stare hussarze, żołnierze,
Z nimi pachołki, trębacze, pałkierze.

Więc dyktatory ludu, generały,
Więc kiryśniki i kmiecie w siermiędze,
Co srebrne kosy na kij wziąwszy biały
Mają imiona ryte w dziejów księdze,

*) Jeden z najdawniejszych poematów szlachetnie dumnego poety, który zmarł w kwietniu b. r. nie znany na targu kurjerkowych wielkości, mimo iż wydał kilkanaście tomów poezji, które każdy szczery artysta i głębiej odczuć, i ocenić musi.

Sztandary szumią, a tłumy wciąż płyną
Z kościelnych dzwonów dudniącą lawiną.

A dzwony grają, o grają bez przerwy
Swe monotonne, świątecznych dni hymny,
I nastrajają smutnie ludzkie nerwy
I dreszcz po dreszczu wywołują zimny
I myśl się w dziwnym obłędzie kolebie,
Do dzwonów mówi i mówi do siebie:

O! kto dał dzwonom moc piorunującą,
Kto w nieme serca z chłodnego metalu
Złożył harmonię ku chmurom płynącą,
Ogrom wzniosłości, potęgi i żalu,
Kto klucz cudownej zagadki posiada,
Że serce dzwonów z sercem ludzkiem gada?

Któryż z poetów, płomiennych retorów
Na sercu zagrać tak umie namiętnie,
I któryż z mistrzów dłuta i kolorów,
Któryż wirtouz przy natchnienia tętnie
Jakich organów potężne rejestra
Wstrząsną umysły jak dzwonów orkiestra?

Orkiestra dzwonów! O, ileż to słowo
Uczuć, marzenia, burz, myśli zamyka,
Kiedy dzwonnice zajęczą nad głową,
Gdy zagrzmi dzwonów śpiżowa muzyka;
Orkiestra dzwonów! Czy słyszysz te dzwony?
O! módl się z nimi, o módl się ockniony!

Zbudź się! na uszach niech dusza twa siędzie,
Oślepnij, wszystkie poodpychaj zmysły,
A słuchaj jeno, słuchaj jak w obłędzie
Echa dzwonowe nad miastem zawisły,
Jak pobudziły ze snu ślepe wieże,
W atmosferyczne wkraczając rubieże.

Zdejm czapkę, czoło schyl jak przy pokucie,
Klęknij, wstań, biegnij, stój, do chmur się wspinaj,
Krzycz, jeśli krzykiem wyrazisz uczucie,
Smuć się serdecznie, ślochaj lub przeklinaj,
Lub pomstuj pełen rozpaczy i bólów,
Jak Sprawiedliwość na grobowcach królów!

ADAM MICKIEWICZ.

PIOTR SKARGA.

(Przedmowa do wydania trzeciego — drukowanej ongi w Paryżu nakładem księgarni Luksemburskiej— broszurki, która wśród innych popularnych wydawnictw „Biblioteki Ludowej Polskiej“ ukazała się tamże p. t. *„Wzywanie do pokuty* przez księdza Piotra Skargę“.).

Zajmiemy się dziełami Piotra Skargi, albo raczej zrobieniem sobie pojęcia o nim. Pochodzenie rodowe i szczegóły żywota tego wielkiego męża pozostały dla nas niewiadome; mało zresztą tracimy na tem: Skarga nie wyobraża żadnej partji, ani żadnej epoki, odbija się w nim cały kraj, cały naród ze swoją przeszłością, obecnością i przyszłością nawet. Rodziną Skargi była Polska.

Przedsięwziąwszy walczyć sektarzy, wspierać władzę zachowawczą króla, i zwrócić, jeśliby jeszcze można było Rzeczpospolitę w karby, z których wyszła, pisał on dzieła dogmatyczne, historyczne, homilje i kazania właściwie tak zwane. Jako pisarz dogmatyczny zajmuje wysokie miejsce pomiędzy doktorami kościoła, celuje nauką i biegłością w Piśmie Świętem. Pisma tego nie przytacza, ale jest niem przesiękły, wylewa je w ciągu własnych myśli; cytacje płynąc mu z pod pióra, odznaczają się tylko od własnego jego stylu kolorem ciemniejszym i uroczystszym. Znał Paterykon grecki i łaciński, czytał wszystkie pisma polemiczne jekie wychodziły naówczas; co zaś go najwięcej zaleca pod względem literackim, to sposób tłumaczenia się jemu właściwy. Stara się zawsze dogmata najsubtelniejsze wykładać jak najpopularniej; zawsze jest szlachetny i jasny. Najważniejsze z jego rozpraw dogmatycznych są *Kazania o siedmiu Sakramentach*, przewyborne jako rozumowanie, a niekiedy jako wzór stylu. Wyłuszczając językiem potocznym wysokie prawdy, szuka podobieństw, porównań i przenośni na ziemi polskiej, w życiu codziennem polaków. Jako pisarz polemiczny, wydał dzieła niemniej wielkiego znaczenia. Z jednei strony zbijając różnowierców powstających na kościół, z drugiej wskazywał rządowi jakiej drogi trzymać się był powinien. Przekładał polakom że główne żywotne zadanie wewnątrz państwa, odnosiło się do ziem Ruskich, że niebyło innego sposobu spoić nieodzownie te ziemie z Rzecząpospolitą, jak tylko przez węzeł jedności z kościołem. Dla dopięcia tego celu, radził koniecznie dać większą opiekę ludowi, polepszyć jego byt materjalny, i naostatek skłaniać go ku wierze prawdziwej, nie za pomocą środków gwałtownych, ale przez apostolstwo. Wielkie te prawdy są zawarte w znanem dziele *o jedności Kościoła*.

Najwyżej jednak pomiędzy pracami Skargi stoją, i najwięcej mu zjednały wziętości jego mowy polityczne, czyli *Kazania Sejmowe*. Rodzaj ten on sam utworzył. Przy niezwykłym talencie, nie mógł całej swej potęgi rozwinąć w homiljach i pismach dogmatycznych; dopiero w kazaniach sejmowych wzniósł się na szczyt swego geniuszu. Tu objawia pojęcia jakie miał o posłannictwie Polski, skreśla obowiązki obywateli względem Rzeczypospolitej, wykłada system polityczny, uznany przez się za najlepszy, przepowiada nareszcie przyszłość Polsce: jest mówcą, politykiem, kapłanem i prorokiem. Nadewszystko dzieła jego odznaczają się patriotyzmem. Skarga stawi nam wzór kapłana patrioty. Cecha ta przebija się już w jego pismach polemicznych. Miłość ojczyzny dodawała mu sił, ciągle dowodził różnowiercom, że gubili ojczyznę, i trzeba było nie lada odwagi, nie lada mocy do walczenia z tylu sektami rozdzielającemi natenczas Polskę. Apostolowie, doktorowie kościoła, święty Augustyn, święty Klemens Aleksandryjski, wszyscy dawni filozofowie, którzy wykładali naukę katolicką i wojowali z niedowiarkami, byli zawsze otoczeni swoją

owczarnią, choć nieliczną ale skupioną. Skarga, znajdował się pośród wojska zbuntowanego przeciw swoim wodzom, musiał zniewalać sobie słuchaczów. Sektarze krzyczeli na niego, że był inkwizytorem, pieczeniarzem królewskim, intrygantem, stronnikiem władzy absolutnej. Szkalowany, prześladowany, niekiedy publicznie lżony, skoro wstępował na kazalnicę widział przed sobą nieprzyjaciół, schodząc z niej napotyka, nawet gwałtownych napastników. Powiadają, że raz przy wyjściu z kościoła dostał policzek; innego razu cudem uniknął śmierci. Nasadzeni siepacze jednego pana czekali go na drodze kędy miał przechodzić, żeby porwać i utopić; przyszła mu nagle myśl zajść do pańskiego dworu i tem się ocalił. Pan ów, co kazał nań czatować, zmięszany zjawieniem się jego u siebie, przyjął gościnnie, i rozstali się po przyjacielsku. Człowiek ten wystawiony na potwarze i niebespieczeństwa, podnosząc głos z mownicy kościelnej, zamiast coby miał w usposobieniu, w przychylności swego audytorjum czerpać siłę, której tak potrzebował, musiał ją wydobywać z samego siebie, musiał w głębi swojego ducha roznieconym zapałem ogrzewać publiczność zimną i źle uprzedzoną. Nie puszczał się na żadne wybiegi używane przez mowców, nie starał się ująć sobie słuchaczów, nigdy im nie pochlebiał, a najczęściej wyłożywszy senatorom i posłom ich obowiązki z godnością i surowie, po krótkiem wzniesieniu modlitwy do nieba, poczynał piorunować na występki prywatne i publiczne, nigdy jednak nie wytykając osób. Sam tylekroć obrzucany obelgami, nikomu nie zrobił najmniejszej przymówki, karcił tylko złe nauki i wady ogólne.

Skarga miłuje ojczyznę nie dla tego, że jest jego ziemią rodzinną, ale że jest, jak powiada, ustanowieniem Bożem. Bóg stwarza narody, nadaje im różne posłannictwa, a stosownie do tych mają właściwe sobie obowiązki. Słowem, narody u Skargi są to jakby osobne stworzenia, jakby jakie jestestwa organiczne rozmaitego rodzaju. Poczynają się one z miłości Bożej, a prowadzi je mądrość. Ale ta mądrość jest wieloraka. Jest jedna *djabelska*, która dowcip swój obraca na zdrady i szkody ludzkie, przez grzechy, oszukania i kłamstwa, sławy świeckiej i dobrego mienia dostając; ta przewodniczy piekielnikom, narodom piekłu zaprzedanym. Jest druga mądrość *ziemska*, której cały rozum w dostawaniu, zatrzymywaniu i mnożeniu dóbr tego świata; taką mądrość mają politycy dzisiejsi (dodaje Skarga) którzy nauczają panów i królów aby tylko doczesnego pokoju i dobrego bytu poddanych swoich pilnując, zbawiennych potrzeb ich zaniechali. Jest nakoniec mądrość *niebieska*, przenikająca tajemnice Opatrzności; nie można jej inaczej nabyć jak przez świątobliwość. Tą mądrością opatrzeni byli Józef, Mojżesz, Machabeusze, i t. d. Podobni mężowie poznają drogi zakreślone narodowi od Boga, i są powołani wprowadzać na nie swój naród. Takie są wyobrażenia Skargi. W całej historji widzi on tylko dwa ludy, które odpowiadają wysokiemu jego pojęciu ojczyzny; lud wybrany, to jest hebrajski, i lud polski. Za dowód szczególniejszego błogosławieństwa nad Polską uważa naprzód to, że Opatrzność obdarzyła ją długim szeregiem królów, między którymi nie było żadnego tyrana, i nawet Bolesławowi Śmiałemu, jedynemu z pomiędzy nich mordercy, dozwoliła zbrodnię tę odpokutować przed śmiercią; powtóre, że Polska, ostatnie państwo chrześcijańskie, stoi jako przedmurze cywilizacji na Północy, nakoniec iż posiada wolność wynikającą z konstytucji zupełnie takiej, jaka jest w organizmie ludzkim, gdzie serce i głowa nie mają władzy despotycznej nad członkami, ale są tem w ciele, czem religija i rząd królewski w rzeczypospolitej. Dla tego też wolność tę nazywa Skarga *wolnością złotą*, używając wyrażenia, które należy brać w jego znaczeniu tajemniczem. Złoto, jak wiadomo, w średnich wiekach znaczyło często doskonałość, wyciąg najczystszy: podług alchemików było to światło zgęszczone. Adepci umiejętności tajemnych, szukali tego złota, co miało dać życie i zdrowie wieczne. W tem to znaczeniu, bullę ustawodawczą cesarstwa niemieckiego nazwano *bullą złotą*; w tem znaczeniu także Skarga i późniejsi pisarze wolność polską nazywali *wolnością złotą*, to jest najzupełniejszą, która każdemu obywatelowi zostawiała całą swobodę działania i całą odpowiedzialność za jej nadużycie.

Skarga kochał i ochraniał Polskę, jako nową Jerozolimę, na którą Bóg zlał wielkie obietnice. Ale Polska, jaką on pojmował, była tylko w jego myśli; oddzielał ją nawet od ludzi. Ludzie, zdaniem jego, zdradzają tę ojczyznę zbudowaną przez Opatrzność, przeniewierzają się swemu posłannictwu. Na generację do której mówił, patrzał jako na występną, jako na idącą drogą błędną do strasznych nieszczęść.

Przetoż, raz kiedy stanie mu w oczach owa ojczyzna Boża zrealizowana na ziemi przez cnoty przodków i patronów Polski podnosi głos błogosławiący; drugi raz kiedy weźmie przed się zbrodnie i złości współczesnych, złorzeczy i grozi.

Ci, do których Skarga mówił, często mu przerywal iszmerem niechęci. Wszyscy senatorowie, prócz jednego, należeli do dyssydentów. Podczas podniesienia hostji, sam król tylko przyklękał; oni stojąc przed ołtarzem zamiast uchylić czoła, umyślnie potrząsali głowami, żeby błyskały brylantowe spinki u czapek. Kaznodzieja też nie ubiegał się o ich względy. Poglądając na tych ludzi pysznych, otoczonych tłumem dworzan, mających za drzwiami kościoła swoje hufce zbrojne, żadnej najboleśniejszej prawdy im nie oszczędza Skarga. Zagłębia on słowo w sumienie narodu i obraca niem na wszystkie strony. Przepowiada Polsce okropne nieszczęścia; nie w sposób tylko symboliczny, jak to czynili prorocy starego zakonu, którym zarzucana bywa ciemność i dwuznaczność; ale jak najwyraźniej, jak najdobitniej. Przyszłość stała mu przed oczyma wypisana jakby w księdze dziejów upłynionych; czytał ją od deski do deski Jedno z takich kazań przerwał goniec przybyły do króla z doniesieniem o wielkiem zwycięztwie pod Kircholmem, gdzie hetman Chodkiewicz w 4,000 wojska poraził na głowę Szwedów, mających 12,000 piechoty i 4,000 jazdy wybornie uzbrojonej. Poległ tam na placu naczelny wódz szwedzki Hinderson; jenerał Brand został wzięty do niewoli, a Karol książe Sudermanji, przywłaszczyciel tronu, ledwo sam ujść zdołał. Zwycięztwo to długo głośne po całej Europie, zapewniło Polsce Inflanty. Skoro usłyszano tę nowinę senatorowie, posłowie, i wszyscy obecni w kościele padli na kolana.

Ksiądz Skarga odśpiewawszy *Te deum laudamus* dalej kończył swoje smutne przepowiednie.

Przepowiednie te, zawarte w kazaniach sejmowych, powtórzone są w osobno ogłoszonem: *Wzywaniu do pokuty obywatelów korony Polskiej*: czyli *Skarga wzbudzony, wzywający do pokuty nieodwłocznej obywatelów Korony Polskiej i Wielkiego Księztwa Litewskiego, zwłaszcza podtenczas dobytego na nas miecza pogańskiego.*

Skarga zdaniem naszem spełnił ideał kaznodziei i patrioty. Jako mowca, jako pisarz stoi on na równi z Bossuetem i Massillonem, a poniekąd wyżej. W najpiękniejszych kazaniach Francuzów, zanadto bierze górę forma, znać zaraz że były przeznaczone dla publiczności uczonej; kiedy u Skargi formy nawet nie widać, nie można dostrzedz jak się wytaczają jego okresy. Nie myślił on nigdy o swoich frazesach, i dla tego tłumaczył się w sposób tak doskonały, tak powabny. Styl jego nosi na sobie piętno czasów zwanych złotemi literatury polskiej, ma to szczególne brzmienie, ten dźwięk jakby metaliczny, po którym pozna ową epokę każdy literat słowianin. W układzie nawet swoich kazań różni się od wszystkich dawniejszych i dzisiejszych mowców. Nie kreśli sobie planu zewnętrznego, nie robi tak zwanego wstępu, nie rozdziela części, nie chowa najmocniejszych argumentów na zamknięcie. Ale niekiedy pośród rozbioru kwestji dogmatycznej, po zimnem i ścisłem rozumowaniu, zapala się nagle, wpada w natchnienie prorocze, przepowiada przyszłość, nawołuje lud do poprawy, ubolewa nad narodem i jest prorokiem, trybunem, nadewszystko zaś Polakiem. Rozgrzewany ciągle ogniem utarczek, zmuszony zawsze walczyć ze swoją publicznością, nabył ogromnej siły i wyrobił sobie ten styl, jaki jemu samemu tylko jest właściwy. Dawniejsi mówcy duchowni, homiliści, są jedynie pisarzami kościelnymi: rozprawiają o dogmatach, o moralności chrześcijańskiej powszechnej, należą do wszystkich wieków i wszystkich narodów. Nowocześni kaznodzieje francuzcy, zbyt często dają uczuć chęć dogodzenia wymaganiu publiczności cywilizowanej, lękają się smak jej obrazić. Skarga wstępując na ambonę zapomina zupełnie o sobie, obraca głos do tej ojczyzny idealnej, co zawsze stoi mu przed oczyma, dla swoich słuchaczów jest jak sam powiada „na przymówki, wrzaski, gniewy i groźby, słupem żelaznym i murem miedzianym.“ Co zaś najbardziej go nad wszystkich tych oratorów wynosi, to ów duch prorocki, jakiego złożył dowody tak niezaprzeczone i tak jasne. Postrzeżono nawet w jego grożących przepowiadaniach jedno wyrażenie, którego prawie słowo w słowo użyła carowa Katarzyna.

Literatura słowiańska.
Lekcja 25 czerwca 1841 r.

W. B.

NIEZNANEMU BOGU.

(Rozważań kilka z powodu tomu poezji Józefa Jedlicza*) i powieści Władysława Orkana „Drzewiej“ **).

Zamiast drzew cytrynowych stary dąb brodaty
zamiast Homera, stary jaki żebrak z lirą,
zamiast róż nasze polne ukraińskie kwiaty.
A szlachcice, królowie teraz naszej sceny,
sąsiadują jak Argos król z królem Miceny.

(*Słowacki*)

Dzień każdy mnoży tomy, które godzą w umysłowość Młodej Polski i przyorują pola obsiewane przez ćwierć wieku kwiatami pesymizmu, niedoli i grzechu.

Zdawało się, że pogasły słońca a Polsce nie pozostało już nic innego, jak hodowanie bonzów-nadludzi i kłanianie się w pas magom ciemnych kunsztów.

Kiedy Nowaczyński, lat temu kilka, nawoływał do źródeł historycznych, wołanie to uważano za nowy aforyzm sowiżdżalski, kiedy Reymont pisał „Chłopów“, Tetmajer „Na Skalnem Podhalu“ a Orkan „W Roztokach“, otwierano arsenał mistyczno-histerycznych madrygałów jako przeciwważnik ich twórczości.

A wreszcie Górskiego za Montsalwat wliczono do obrazoburców modernizmu, a Sienkiewiczowi wymyślano od antyspołecznych pisarzy.

I tak się wlokła okulała Muza polska od tawerny do kabaretu ciągnąc brykę naładowaną po brzegi teoryami nadczłowieczeństwa, zaprzeczeń narodowych, frazesów o Duszy, o Geniuszu i o mądrości Talmudystów.

Tak było dotąd, do tych sławnych dni, gdy ze wszystkich scen polskich rozbrzmiewa insanitas moraly p. Zapolskiej a Sherlok Holmes, postrach wszystkich Pochroniów, stał się najpopularniejszą postacią wieku.

Zbudziły się nowe błyski—które w całej krytyce omal że jeden Zdzisław Dębicki dostrzegl i nazwał mianem uśmiechu i świeżości.

Posypał się wtedy szereg nazwisk, które raz na zawsze wzięły rozbrat z „Młodą Polską“.

Ostatnie miesiące powiększają to grono i do debiutantów dołączają się ludzie z pod dobrych, dawnych znaków.

Mam na myśli dwie nowe książki autorów znanych w piśmiennictwie i zapisanych dobrze w jej kronikach.

Władysław Orkan wydaje powieść „Drzewiej“, Józef Jedlicz poezye „Nieznanemu Bogu“.

Sniło się kiedyś Ryszardowi Wagnerowi i romantykom niemieckim zbudować mitologię germańską, sięgnęli przeto do sag i do lais, zakołatali do bram Walhali i pobudzili śpiące Olbrzymy.

---

*) Warszawa 1912.—wyd. Mordkowicza „Pod znakiem poetów“.

**) Kraków 1912.—wyd. „Książka“.

Niemamy niestety śpiących rycerzy, a zanim zdążyła wydać Słowiańszczyzna Lorrisów, Meungów, Beroulów, Eilhartów i Gottfriedów z Strasburga, zanikły ślady horodyszcz i ostrowów.

Ciągnęła do nas hołota z Niemiec, z Francyi i sąsiednich Czech, by fortun się dorobić a przy sposobności zasłużyć na koronę apostolską.

Cudzoziemcy to byli, ciemni, barbarzyńcy, więc z przeszłości Słowian nie zostało nic, klechdy jednej, pieśni jednej, bo taka gorliwość była cywilizatorów.

Od zarania dziejowego staliśmy się małpą i pawiem narodów, którym hodować pozwolono jeno rzymskie doktryny.

I dzisiaj ilekroć potrąca kto o lud, kędy tlą się ostatnie iskry prawiecznej wiary, milczą przeróżnego nawołania krytycy, lub zwą to powrotem wstecz, cofaniem się w zamierzchłe dzieje.

O wiarę słowiańską potrącić nie wolno, bo niweczy ona wschodnio-semicki światopogląd, bo utrąca Królestwo Infuły i Tory.

Ale oto dwie książki Orkana i Jedlicza—które jako łuczywo oświetlają poniechane drogi i godzą swą dostojnością w fundamenta łacińskich histryonów i wschodnich kabalarzy.

Orkan w formie powieściowej wskrzesza słowiańską przeszłość—i on pierwszy z pisarzy, mówiąc o zamierzchłych czasach, wyzbył się ciężaru archeologii.

Temu historycznemu błędowi ulegali wszyscy począwszy od Kraszewskiego, twórcy „Starej Baśni“ — i to było przyczyną, że na gruzach nie wznieśli świątyni Królowi-Duchowi.

Epos Orkana, o fabule zresztą obojętnej, równie podatnej do przypowieści króla Salomona, jak i do starosłowiańskiego poematu, stwarza tło, krajobraz, wśród którego odżyć mogą widy.

Józef Jedlicz prawi o ludziach, o ich duszach pogodnych, o szczęściu wśród pól i strzech, kędy strażują Duchy—Ojców, o pasterzach, co wydrzeć chcieli zmarłym tajemnicę, o uroczyskach, świętach, żniwach, o wierze dziecka w bajki.

Mówi tonem dostojnej pieśni, na którą zdobyć się może jeno jasny Duch, strażnik tych świątyń, z których spływa błogosławieństwo na lud boży.

I wielki spokój w tym śpiewie, i wielki ład, i porządek myśli—i słów uroczystych.

Piękna ta księga o duszy polskiej—i o biesiadzie Wnuków pospołu z Duchami Ojców w on czas—gdy przyszło radzić: „O sprawie Greków i pługach na roli“.

ANDRZEJ ZARZYCKI.

O Wojciechu Piechowskim.

(Z powodu wystawy jego obrazów w Zachęcie).

Wystawa pośmiertnych dzieł Piechowskiego to obraz twórczości całego życia artysty, którego talent nie zawsze równy—zawsze jednakże był szczerym

Pierwszy okres twórczości Piechowskiego to obrazy rodzajowe, sceny z polskiej wsi, a dalej obrazy treści religijnej, jak silny szkic do Golgoty i „Głowa Chrystusa“... Bo artysta, zmuszony zarobkować, liczne malował obrazy do użytku kościołów. Obrazów tych niema na obecnej wystawie. Ale tęsknota i dążenie do prawdziwej sztuki dały jednak Piechowskiemu możność namalowania całego szeregu obrazów już-to na tle motywów z małych miasteczek, już-to scen ludowych.

Artysta, malarz rodzajowy, zaczął tworzyć w latach dla swej twórczości nieprzychylnych*), kiedy malarstwo historyczne było w pełni rozwoju i miało swoje stopnie uznane i przyznane przez ówczesnych krytyków, o których tak wiele pisał—nie tyle pochlebnie, ile słusznie—Witkiewicz. I tak na pierwszym stopniu stawiano wtedy malarstwo religijne, na drugim—historyczne, na trzecim—portretowe—i dopiero na czwartym tolerowano łaskawie malarstwo *rodzajowe*, pejżaż i martwą naturę pozostawiając już dla tych, którzy—według ówczesnej krytyki—nic nie umieli i niczego nauczyć się nie chcieli.

Któż-bo nie pamięta ówczesnych wystaw, gdzie—po za dziełami geniuszu Matejki—całe zajmowano ściany obrazami „historycznymi“ w rodzaju Eljaszów-Radzikowskich, a gdzie chyba tylko zbywające kątki zakrywano małymi obrazkami rodzajowymi, z lekceważeniem umieszczając pejżażyki już tylko w przejściach, lub na schodach...

A krytyki ówczesne tych „historycznych“ dzieł to całe kolumny pociesznych wypracowań literackich na temat danej sceny, lub najczęściej bitwy, zawsze z hojną daniną łaskawych rad i pouczeń, jak mianowicie obraz ten—szczególniej w kompozycyi—pojąłby dany krytyk, przyczem o stronie technicznej obrazu albo nie pisał nic, albo zamajaczył niekiedy o jakiemś oświetleniu „mistycznem“ wtedy, gdy mówił np. o świetle latarni. Sztuka ówczesna była najczęściej w tak wielkiej rozbieżności z życiem, że nawet ówczesne, nieliczne zresztą, pejzaże często, dla równowagi, „uszlachetniane“ bywały w ten sposób, że jeśli np. jakiś mostek jedno tylko miał drzewko w naturze, to malarz dorabiał mu z drugiej strony drugie drzewko—do pary! A nie chcę przez to powiedzieć, iż dziś nastały już złote czasy dla sztuki, ale twierdzę, że jeśli szkice i notatki bezpośrednio z natury czerpane nieraz mogą być arcydziełami, to przeto wielka szkoda, że obecnie tak trudno spotkać się z temi arcydziełami na wystawach naszych.

Wspominając o rozbieżności sztuki z życiem nie mogę nie wspomnieć tu o Grottgerze, który, na szczęście, w kilku tylko kompozycyach historycznych—jak „Sobieski pod Wiedniem“—nie był sobą, bo zresztą wszystko, co było żywe w jego duszy błysło talentem genialnym w „Polonii“, „Lituanii“ i tylu innych scenach z 63-ego roku; co znowu stwierdza prawdę niespożytą, że *talent* zawsze jednak pójdzie *własną* drogą.

Ale wróćmy do Piechowskiego

Wojciech Piechowski ma wiele uczucia, a przy pewnej dozie ckliwości, ma on niewątpliwie także i talent żywy, biorący życie szczerze i z prostotą. Jego obraz „Toast weselny“ dobrze zaobserwowany w typach o wybitnym charakterze, rysowany i skomponowany żywo, jest doskonałym dokumentem naszego życia. I zaprawdę, patrząc na te prowincyonalne typy z kielichami szampana w dłoni, który tak charakterystycznie odbija od tła saloniku małomiasteczkowego, trudno się opędzić smutnym myślom, że jednak są jeszcze takie u nas typy...

Ten sam charakter ma „Święcone“, czyli znowu małe miasteczko z całą galerją typów i „dam“ kanapowych, wśród których nie brak i artystki przy fortepianie—której nikt nie słucha, i młodzieńca pełnego galanteryi — „bawiącego“ damę — — — i much przy kominku...

Obrazy te ze stanowiska malarskiego należą do najlepszych. Rysowane i malowane szczerze, zharmonizowane są ogólnie w kolorze.

---

*) W latach siedemdziesiątych.

Dużo charakteru mają również obrazy ludowe Piechowskiego. Jest jednak pewna martwota, czy oschłość, w ujęciu ich tematu. Figury rysowane poprawnie, nieraz z pedanteryą. Chwilami szczerość w połączeniu z pewną naiwnością,.. Takiemi są np. „Dożynki“ — pomimo dużych zalet, jakby martwe. Nie ma w nich ogólnej duszy gromady. Poszczególne figury wyrywają się, choć tu i owdzie łatwo odnaleść typ żywy, lub ruch dobrze zaobserwowany.

Ale na szczególne uznanie zasługuje Piechowski przedewszystkiem dlatego, że, czy w lepszym, czy gorszym obrazie, zawsze jednak był sobą. Uderza to szczególniej w „Rezurekcyi“, gdzie w rysunku i kompozycyi zauważyć się daje wielka szczerość i bezpośredniość natury. Na obrazie tym procesja tłumu włościańskiego wraz z plebanem, kollatorami i tym świetnym typem organisty, jaki tylko u nas istnieć może, to doprawdy kawał Polski etnograficznej. Szkoda tylko, że scena odbywająca się na wolnem powietrzu, ma oświetlenie pracowniane, przebielone, i że dlatego obraz jest zimny i sztywny. Bo np. te małe obrazki Piechowskiego, te jego wnętrza chałup z całą masą garnków, cebrzyków, jak „Motyw z Nosarzewa“ i jak inny fragment „Ze wsi“ — są już malowane z dużą wiedzą malarską i umiłowaniem.

„Marsz żałobny“, słabszy technicznie, uwydatnia *myśl* przyczem czuje się, że artysta wydobył tu to wrażenie, które zamierzył... Kompozycya natomiast pod tytułem „Myśli“ — jest chybioną.

Pejzaże, a jest ich kilka, są najsłabsze z całej twórczości Piechowskiego; są zimne i nie ciekawe.

Obrazem o dużym syntymencie jest wreszcie ten jasny, przemiły, spokojny i cichy salonik wiejski z młodą panienką w bieli przed lustrem. Dzieło szczerego talentu, malowane skromnie, bezpretensjonalnie i z wielką prostotą.

Patrząc po płótnach, które po sobie zostawił Piechowski, odczuwa się, że talent jego nieraz się załamał po drodze życia wśród trudnych warunków — ale że jednak uratował siebie, bo pozostawił nam dzisiaj puściznę, która jest żywym dokumentem malarstwa polskiego i polskiego życia.

WITOŁD BUNIKIEWICZ.

Przegląd wyobrażeń estetycznych u progu rokoka.

(Dokończenie).

W walce o starą i nową sztukę Du Bos zajmuje stanowisko pośrednie, zda się — nawet oportunistyczne.

Raz postawiwszy sobie ideał rzymskich cnót, upatruje w latyniźmie wszelkie najpiękniejsze strony.

I tak ponad język francuzki wysławia łacinę, ze względu na jej zwięzłość, energię i jędrność. W poezyi łacińskiej dopatruje się takiej harmonii, jakiej nigdy nie osięgnie poezya francuzka, posługująca się językiem trwożliwym. A jeden wiersz Horacego przenosi ponad wszystkie „brząkania“ Tassa.

„Być może—pisze du Bos—że wiek nasz jest mędrszy, niż czasy starożytne, być może, że mamy więcej doświadczeń na polu naukowem, w geografii, logice i badaniach przyrodniczych, ludzi jednak starożytnych zgoła nie przewyższamy.

Oni to bowiem, przy nieznacznem doświadczeniu, zbudowali starsze systemy filozoficzne, poczynili odkrycia i wydali poetów i artystów, którym nasi artyści czyż mogą dorównać?

Nie czcimy dzieł starożytnych za to—że wydały je odległe wieki—ale czasy owe zamierzchłe czcimy za to, że powstały w nich takie dzieła.

Iliady, Eneidy i innych pism nie podziwiamy dla tego, że są tworem starożytnych, lecz dlatego, że dzieła te są podziwienia godnemi i lubo wiele wieków upłynęło od ich powstania, żaden z poetów nie dorównał starożytnym autorom w tego rodzaju poezyi.

Wszyscy zaś, niezależnie, czyto będą ludzie z północy czy z południa, protestanci czy katolicy, godzą się społem na to, że przy czytaniu dzieł starożytnych doznawali większych wzruszeń, niźli im dawała ich ojczysta poezya.

W poezyi i w rzeźbie — starożytni poszli dalej niż współcześni, w malarstwie jednak pozostali znacznie w tyle. Przypuśćmy nawet, że rysowali dobrze, że ich kolorystyka według słów Plinjusza była dobrą, nie znali jednak perspektywy.

Malarstwo zaś i poznanie natury od czasów Rafaela tak poszło naprzód, że gdyby nawet sam mistrz Santi zeszedł jeszcze raz na ziemię i chciał współcześnie malować, to tworzyłby nieporównanie lepsze płótna.

Sztuka i zamiłowania estetyczne—według du Bosa—nie są jednak przypadkowe. Na wyrobienie ich wpływa *kraj*, *klimat* i zmiany *atmosferyczne*", bo „Notre ame, le caractére de notre esprit et nos inclinations dependent beaucoup de qualite de notre sang, or les quatités de ce sang, dépendent beaucoup de l'aér que nous respiront". Oto dlaczego narody, zamieszkujące różne klimaty, różnią się tak znacznie między sobą umysłem i skłonnościami

W tej teoryi idzie du Bos tak daleko, że Francuzom spędzającym życie na wygnaniu w pobliskiej Holandyi — przypisuje choroby powodowane zmianą powietrza—a jedynie tylko klimat afrykański obwinia, że dzieci kolonistów portugalskich przychodziły na świat ze spłaszczonymi nosami, z kędzierzawą głową—i o wargach tak grubych, jak miejscowi Murzyni.

Powietrze winno, że w pewnych krajach mnożą się te same występki, że „grand" hiszpański traci fortunę na miłostki, a polski szlachcic na wino i okowitę. Teorya klimatu i powietrza miała wytłumaczyć różnice rasowe, jakie zachodzą między mieszkańcami południa i północy — między sztuką włoską—a holenderską, która coraz gwałtowniej nacierała na Francję.

L'abbe du Bos nie poprzestał jednak na uogólnieniu swej teoryi, zdawało mu się, że w sposób przyrodniczy można wytłumaczyć tajemnicę twórczości—że myśl ludzka i geniusz to jak owe ziarno ciśnione w ziemię, które na piachach urośnie w wątłą roślinkę—a na czarnoziemiu wyda tysiączny plon. Dziwiło go jednak, że w pewnych tylko porach i w jakichś ściśle oznaczonych czasach krzewi się myśl ludzka płodniej — podczas gdy całe wieki ubiegają, a z wielkiej twórczości niema ani śladu.

Rozwija więc swą teoryę i dochodzi do tego przekonania, że twórczość jest tak dalece czułą na zmiany klimatyczne, iż są dla niej lata złe i dobre, podobnie jak i żniwo, jednego roku pomyślne i korzystne — drugiego nie warte pracy i zachodu.

BEZ KOMENTARZY.

O kompozycjach muzycznych **Eugeniusza Morawskiego** — piszą:

Mirosław R. — *w korespondencji* **z Paryża** *do warszawskiego „Świata“ z dnia 25-go czerwca 1910 r.*:

„Dnia 9-go b. m. w „Salle Gaveau“, staraniem „Société musicale Indépendante“ został wykonany przez powiększoną orkiestrę Hassellmansa poemat symfoniczny Eugeniusza Morawskiego z Warszawy. Poemat nosi tytuł „Vae Victis.“

. . . .

„Symfonia Morawskiego nie wymaga jednak, mojem zdaniem, poetycznego tłómaczenia, tak jest sama w sobie muzycznie logiczna i skrystalizowana; nie ma miejsca, w któremby można było uczuć nagięcie się do treści; żaden szczegół naturalistyczny nie kazi piękności na wielką skalę zakrojonego poematu. Naczelny, potężny temat walki, przejmuje grozą, wywołuje dreszcz, przenika nawskroś rytmem bohaterskim, służące następnie, jako „lejtmotiv“ poematu, przynosi słuchaczom raz po raz jakby odgłos dalekiej, cichnącej walki, przechodzi kolejno co raz to w inne grupy instrumentów. Nader bogata instrumentacya sprawia, że się ma ciągle nowe, jednakże ściśle powiązane ze sobą wrażenia.

Smutek, beznadziejność przewijają się w końcowej części poematu, w prześlicznem piano drewnianych instrumentów na tle głosu organów, na którem rzecz się urywa, pozostawiając słuchaczów pod wrażeniem czegoś niezwykłego, co nie codzień ma się możność odczuwać.“

Fr. Neuhauser — *na łamach „Wieku Nowego“ — pod datą* **Lwów**, *dnia 26-go września 1911 r.*:

„P. Eugeniusz Morawski, muzyk-kompozytor, urodzony i wykształcony w Warszawie, a przebywający od lat 4 w Paryżu, gdzie zajmuje stanowisko w sztuce wybitniejsze, należy bezsprzecznie do rzędu artystów o aspiracyach wykwintnych, do talentów kompozytorskich wielkich i — co wiele znaczy w naszych czasach — szczerych, nie szukających uznania pod osłoną blichtru dekadenckiego. Forma jego utworów jest postępowa, lecz rozumna, czyli unikająca przesady i afektacyi na polu pomysłów kakofonicznych; zdrowe i oryginalne swe pomysły ubiera p. Morawski w zwroty harmonijne, interesujące, zręczne i pełne kolorytu, zawsze umiarkowanie zakreślonego.“

St. Niewiadomski — *na łamach „Słowa Polskiego“ — pod datą* **Lwów** *dnia 26-go września 1911 r.*:

„pieśni p. Morawskiego są bogate zarówno w treść muzyczną, jak i w ekspresję. Jedna z nich do tekstu angielskiego wybija się na pierwszy plan swą wysoką pięknością. Ale we wszystkich panuje myśl głęboka i poważna, ba, nawet nastrój prawie dramatyczny; wyraz zaś traktowany jest jędrnie i wsparty silnie rysunkiem i barwą akompaniamentu, obok czego zadanie śpiewaka nie zostaje nigdy do drugiego zepchnięte rzędu. Pieśni wywarły widoczne wrażenie i otworzyły p. Morawskiemu drogę na przyszłość do uszu i serc naszych słuchaczy.“

Autor niepodpisany — *na łamach czasopisma „Nasz Kraj Ilustrowany“ — pod datą* **Lwów**, *dnia 7-go października 1911 r.:*

„Jako kompozytor Eugeniusz Morawski posiada niezwykłą zdolność symfonicznego kształtowania i planowania na wielkie rozmiary. Pomysły muzyczne przeprowadzone są u niego z logiką zmuszającą, a przecież nie brak im nigdy polotu intuicyjnego. Styl orkiestralny zdradza wyszkolenie na najnowszych wzorach niemieckich i francuskich. Podziwiamy w „Don Kiszocie“ świetne i pełne charakterystyki uchwycenie tonu oryginalno-komicznego. Polifonja orkiestralna i nadzwyczaj bogata instrumentacya służą autorowi jako środki wyrazu artystycznego, najbardziej zróżniczkowanego.

Zaznaczyć jednak przytem należy, że Morawski nie popada w niewolniczą zależność od odtwarzanego nastroju, raczej narzuca danej impressyi własny indywidualny wyraz, stanowiący niejako nić przewodnią całego utworu.

W p. Morawskim zyskuje bezsprzecznie młoda muzyka polska jednego z najwybitniejszych przedstawicieli.“

Feliks Jasieński — *na łamach „Głosu Narodu“ — pod datą* **Kraków**, *dnia 20-go października 1911 r.:*

„Należy się szczera podzięka za zapoznanie nas z nieznanym tutaj, a w Paryżu zamieszkałym, młodym kompozytorem polskim, Eugeniuszem Morawskim. Wszystkie pieśni, a było ich pięć, podobały nam się bardzo. „Moderna“, |powiedziałby pan Prokesch; zapewne: Haydn pisał inaczej; tylko że, dla ówczesnych Prokeschów, Haydn — to również była „moderna“ nawet Rafael — proszę sobie wyobrazić! — to także była „moderna“ wobec np. Giotta, a nawet Perugina. I pan Prokesch byłby beształ Rafaela za to, że nie maluje jak Giotto.

Pan Morawski usłyszałby, prócz tego, zarzut, że nie jest „swojski“, co znaczy, że nie kwili ślamazarnie i że nie harmonizuje jak Moniuszko. To trudno! Zresztą Moniuszko wobec Kurpińskiego — to także „moderna“.

Pan Morawski nie pisze dla Pipidówki, ale zdaje mi się, że każdy muzykalny Europejczyk wysłucha jego pieśni z zainteresowaniem. A to może również coś warto...“

St. Niewiadomski — *na łamach „Słowa Polskiego“ — pod datą* **Lwów**, *dnia 27-yo lutego 1912 r.:*

„dał się słyszeć po raz pierwszy młody polski kompozytor Eugenjusz M o r a w s k i ze swoim Don Kiszotem. Talent w i e l k i, najlepiej powiedzieć odrazu krótko i węzłowato, a może i ku przestrodze osobom, które go we Lwowie poznały. Tyle bowiem razy miewa się dziś do czynienia z nowoczesnym typem „talentów“ o bezprzykładnej zarozumiałości, przedsiębiorczości i energji w rozpychaniu łokciami wszystkiego, co im na około nie dogadza; że taki skromny, w zachowaniu prosty, otwarty, szczery, a od blagi wolny młody człowiek, mógłby może na serjo wzbudzić w kimś powątpiewanie: jakto on? ten sam, co na zapytanie mu zadane, powiedział niedawno, że nie wie, czy muzyka jego jest programową czy nie?.. Otóż właśnie on ze swoją prostotą jest istotnie talentem, po którym muzyka symfoniczna spodziewać się może wiele, chociażby nawet bez udziału i opieki „Komitetu dla popierania Młodej Polski.“

Chcąc scharakteryzować talent Morawskiego, należy w pierwszym rzędzie podkreślić pomysłowość jego instrumentacyjną, i żywą, wielce ruchliwą fantazję w zakresie rytmiki Te dwa czynniki współdziałają w kompozycji nieustannie i jak najintensywniej, są poprostu duszą utworu i jego programem. Bo w istocie rzeczy, mimo napisu, który nasuwa przypuszczenie programowości, kompozycja nie wysila się na malowanie drobnostek, a dąży jedynie do wydobycia wyrazu dla idei ucieleśnionej w Don Kiszocie. Niepokój, niezmordowane rwanie się w górę, gorączka idealisty, walka z widziadłami fantazji, śmierć wśród nieziszczonych marzeń i nieosiągniętych tryumfów — wszystko to przyobleczone w barwne, tęgie i krępe ciała dźwiękowe, stanowi

treść kompozycji. Motyw panuje tu wszechwładnie nad formą. Słuchacz nie znachodzi rozwiniętej analogji w planie całości, mimo to utwór rozwija się logicznie i potęguje w swej sile wewnętrznej."

J. Biernacki z Warszawy — *w numerze 100-ym „Dziennika Powszechnego"*:

„Don Kichot". Poemat symfoniczny polskiego kompozytora stanowi ostatni wyraz modernistycznych wybryków w dziedzinie muzycznej twórczości. Autor „symfonii" pragnął tonami wykazać całą pełnię duszy rycerza z Manszy, pragnął na cześć bohatera Cervantesa wyśpiewać hymn wzniosłego piękna, pragnął Don Kichota usymbolizować jako tęsknotę za tem, co uległo szarzyźnie życia, „jako żal za rozwianym pióropuszem, który stroi głowy bohaterów". Gorące to pragnienie p. Morawski zrealizował wszystkiem, tylko nie poezyą, nie uczuciem wzniosłem, nie natchnieniem. Autor wyładował z siebie cały zapas akademickiej wiedzy muzycznej, szafował kolorystyką instrumentacyjną bez umiarkowania, dysonansami niemożliwymi naśladował Straussa, słowem, stworzył „poemat symfoniczny", który każe podziwiać robotę autora i... nic więcej".

A. Poliński z Warszawy — *w numerze 102-gim „Kurjera Warszawskiego"*:

„Cervantes istotnie dał w swem arcydziele obraz walki marzycielskich porywów duszy ludzkiej z twardą rzeczywistością, symbol, piastujący w sobie bohaterski pierwiastek duszy człowieczej, może nawet i „hymn na cześć wzniosłego piękna, które umarło", ale tego wszystkiego, a przedewszystkiem „melancholji ułudnego szczęścia", oraz „tęsknoty za tem, co uległo szarości życia", w poemacie p. Morawskiego niema. Jest tylko muzyka, wzorowana na wszystkich możliwych i niemożliwych „mistrzach" modernistach, głównie na Straussie, pozbawiona nie mówię wybitnych, lecz choćby jako tako wyraźnych cech indywidualnych . . . .
Młody autor, lubo kroczy śladami Straussa, nie operuje od czasu do czasu poszczególnemi grupami instrumentów, lecz całą armię w zwartych szeregach pcha ustawicznie do ataku, z okrzykami bez przerwy hura!... W całym poemacie (słyszałem go pierwszy raz, partycji nie miałem w ręku) nie zauważyłem ani jednego *pianissima*; kto żyje w orkiestrze, wrzeszczy wciąż, ile mu tylko tchu stanie. W formie dużo chaotyczności, w szczegółach zaś instrumentacyjnych i modulacyjnych ekscentryczności."

J. Rosenzweig z Warszawy — *w numerze 102-gim „Kurjera Porannego"*:

„Don Kiszot" — rzecz prawie niewolniczo na Straussie wzorowana. ale naśladująca raczej jego strony ujemne aniżeli dodatnie. Co u dzisiejszego króla modernistów jest groteskowe i pospolite, co w dziełach jego występuje od czasu do czasu w momentach charakterystycznych — p. Morawski nagromadził na małej przestrzeni, dając tym sposobem szereg efektów nużących, niesmacznych i nawet pomimo swojej dziwaczności — bezbarwnych. Trudno odmówić młodemu kompozytorowi umiejętności w manipulowaniu kombinacjami polifonicznemi; jednak niezależnie od wcale bogatej strony technicznej — nie wyczuliśmy natchnienia, ani piętna indywidualnego."

A. Sygietyński z Warszawy — *w numerze 87-ym „Dnia"*:

„Don Kiszot", poemat symfoniczny, w którym na razie, poza strzępami tematów, chaosem rytmów i zgiełkiem instrumentacji jaskrawej, niepodobna było dosłuchać się poezji, a nawet symfoniczności."

A. Zabłocki z Warszawy — *w numerze 171-ym „Nowej Gazety"*:

„Po wysłuchaniu tego dzieła, doznałem rozczarowania. Jest-to utwór, pokrewny wielu dzisiejszym kompozycyom, rezultat wiedzy muzycznej, niepopartej natchnieniem, o które współczesnym autorom coraz trudniej. Straszny hałas, spowodowany ciągłem niemal używaniem całej orkiestry, brak smaku artystycznego, oraz chaotyczna i beztreściwa całość, niekorzystnie świadczą o utworze, który może nawet zadziwić trochę pewnym rozwichryonym rozmachem, lecz nigdy wzruszyć".

W NAWIASIE.

Z cyklu: TRENY.

* * *

Płaczą nad Polską moje łzawe pieśni,
Niby lecące w mgłę nocy żórawie,
Choć, Hiob krzywdy, łzy rozpaczne dławię,
Niby łkające, bite dzieci Wrześni...

W białych tumanach nocnych z jękiem giną
Bólem nabrzmiałe krwawe skargi duszy...
I tylko srebrny blask księżyca prószy
Na tych ugorów szarość zimną, siną...

One do Boga Polski z jękiem lecą,
Żeby pożalić się na dolę naszą,
Z tych łez narodu gorzkich czarną czaszą,
W żałobnych kirach, z żałością kobiecą...

I do nóg Jego przypadną, jak mewy,
W pianach przez burzę na skały wilgotne
Ciśnięte, pieśni te moje samotne,
Niesione nocy tej chłodnej powiewy...

Wacław Wolski.

Wydawca: **Józef Krobicki**, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: **Piotr Ambroziewicz.**

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.